

Weronika Tupaj

VI Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Krakowie

Szkoła przetrwania szkoły z fizyką

Lekcja fizyki to fragment czasoprzestrzeni, w którym nie obowiązują prawa fizyki. Upływ czasu różni się od tego właściwego reszcie świata uciekającej gdzieś daleko za gipsową, pomalowaną lamperią ścianę klasy. Wskazówki zegara przesuwają się wolno, zbyt wolno. Pod spojrzeniem trzydziestu par oczu okrągła tarcza prawie że drży i topi się jak na obrazie Salvadora Dali. Rytm wybijany przez mechanizmy ukryte pod plastikowym talerzem, kiedy indziej szybki, teraz wlecze się jednak niby melodia marsza pogrzebowego w wykonaniu źle dobranej, niewprawionej orkiestry z małego miasta. Równowaga sił zanika, obracając wniwecz zasady dynamiki Newtona – sześćdziesiąt powiek opada konwulsyjnymi seriami, by zaraz potem unieść się na chwilę resztką nie wiadomo gdzie znalezionej, niedającej logicznie wytłumaczyć swojego istnienia energii. Ręce, głowy i ciała chwieją się wahadłowo, jakimś cudem zachowując równowagę między ciasnym chłodem ściany a gorącym, pachnącym starymi meblami bezmiarem pomieszczenia. Senność przychodzi i odchodzi, tajemniczym sposobem rozszerzając wszechświat oddzielający twardą, bezpieczną ławkę od tablicy, na której dzieją się nierozumiane przez prawie nikogo rzeczy. Po nieudanej próbie nawiązania łączności z tym kosmosem nakreślonym kawałkiem kredy młody astronauta wraca na tarczy do świata swoich snów, mając nadzieję, że pozostanie

w nim bezpieczny przez następne czterdzieści minut. Rozpoczyna się ciągnący w nieskończoność bój z rozluźniającymi się mięśniami, które miękkie, zmęczone ciało najchętniej oddałyby Morfeuszowi. W rzadkich momentach triumfu nastoletniego wojownika wyostrza się jego zmysł obserwacji. Dostrzega liczbę lamp kołyszących się niedostrzegalnie nad jego głową i wzór, jaki tworzą. Odkrywa finezję układu paneli na podłodze, splotu kresek pozostawionych na ścianie przez czarny marker, arabesk łodyg i liści rachitycznej rośliny doniczkowej na parapecie.

Bywają jednak dni i lekcje, w których ten na wpół refleksyjny, na wpół obserwujący letarg pod wpływem nieznanymi czynnikami zmienia się w bezmyślną, wesołą aktywność. W odpowiedzi na wykrzywienie rzeczywistości dokonujące się na tablicy – wiadomo, że każdy, przynajmniej raz na jakiś czas, jeździ pociągiem albo przesuwają szafę, ale nikt nigdy nie oblicza przy tym prędkości ani siły tarcia – znużone ręce i umysły, korzystając z władzy nad tuszem i papierem, wykrzywają rzeczywistość według własnej koncepcji. Powstają karykatury nauczycieli, absurdalne wierszyki, abstrakcyjne ornamenty, wznoszą się wieże przy wstrzymanym oddechu układane z przyborów szkolnych. Te dziwne twory ani wcześniej, ani później nie miałyby szansy być śmieszne – specyfika nastroju lekcji sprawia jednak, że pod wpływem ich widoku mięśnie twarzy wykrzywają się w radosnych konwulsjach, przejmując wszystko to, czego w danej chwili nie może wyrazić dźwięk. Lekcja fizyki, jakkolwiek nieobjęta zasadami fizycznego świata, często rządzi się bowiem zbiorem własnych praw. Ten, kto zakłóci monotonną harmonię głosu nauczyciela przeplatającego się z tykaniem zegara, zostaje siłą wpleciony w ów ponury układ. Pozostawiony sam sobie staje pod tablicą, aby mocą jednego tylko ludzkiego umysłu zaprowadzić porządek w świecie stworzonej przez człowieka abstrakcji. Jego działania przypominają poruszanie się po ciemnym pokoju albo może pisanie wiersza: wszystko dzieje się na wpół intuicyjnie, na wpół na podstawie przywoływanych z najdalszych głębi pamięci skojarzeń. Nie wiadomo, jakich użyć środków i nie wiadomo, do jakiego dąży się celu. Pojawia się paradoksalny cel doraźny: przetrwać, przetrwać w tym miejscu jak najdłużej, nie dając poznać po sobie, że przespało się ostatnie

pół godziny, nie wie się o fizyce nic i zasługuje się w najlepszym razie na szybkie odesłanie

do domu, a zarazem jak najkrócej, zakończyć mękę szybko i wrócić za bezpieczną barykadę plecaka, kurtki i kilku jeszcze innych rzeczy, których miejsce mogłoby być wszędzie, tylko nie na ławce, a mimo to właśnie na ławce się znalazły. Powrót do własnego, prawdziwego, dobrze znanego świata skutkuje powrotem do namacalnej rzeczywistości zamykającej się na przykład w okrągłych kształtach apetycznej kanapki. Nauczyciel, pod ciężarem oświaty kagańca zapatrzony w podręcznik, nigdy nie zauważy tej zmiany szczytu szkolnego sacrum w pięknie pachnące profanum. Co odważniejsi próbują myślami przefrunąć przez widzialno-niewidzialny mur klasy na latających dywanach z podręczników

i ćwiczeń do innych przedmiotów. To, co zrobić kiedyś trzeba, ale nigdy się nie chce, podczas tej niechcianej przez nikogo lekcji otrzymuje wreszcie swoje czterdzieści pięć minut. Koordynacja wszystkich potrzebnych, niepotrzebnych, poważnych i zabawnych zajęć z utrzymywaniem ich w konspiracji, o której jednak wie ten, kto ma wiedzieć (od śmiechu w samotności dużo lepsza jest reakcja łańcuchowa i nie trzeba uważać na lekcji fizyki, aby to zauważyć) okazuje się nie lada intelektualnym wyzwaniem. Tysiące snów, wspomnień, refleksji i marzeń splata się w niewidzialną sieć skutecznie powstrzymującą treści kolejnych zadań przed uniesieniem się choć na milimetr powyżej kartki podręcznika. Ta misterna konstrukcja pozostaje jednak niewidoczna dla mało uważnego obserwatora, który na widok postapokaliptycznego krajobrazu leżących bezwładnie w ciszy ciał mógłby pomyśleć, że w ich umysłach nie dzieje się zupełnie nic.

Lekcja fizyki jest martwym pikselem na wielkim, barwnym, niezawodnie działającym ekranie świata. Przypomina mały, na wpół legalnie działający sklepik ze starociami zagubiony gdzieś na mapie idealnego, nowoczesnego miasta. Można porównać ją do spodni z pomarańczowej skóry, swetra z jaskrawożółtej wełny albo innego ubrania, którego nikt nigdy nie chce włożyć, które jednak z powodu jakiegoś niezrozumiałego sentymentu wciąż znajduje swoje stałe miejsce na najwyższej półce szafy. Szukając porównań w naturalnym środowisku tego osobliwego endemitu – szkole – czujny obserwator znajduje nigdy niekupowany, chyba że dla żartu, rosół oferowany przez automat z gorącymi napojami.

Co by było, gdyby właściciel automatu zdecydował się jednak zlikwidować tę biedną (w każdym możliwym sensie) zupę na rzecz kolejnego smaku kawy albo czekolady? Takie postępowanie wydaje się całkiem logiczne: po co na siłę podtrzymywać istnienie czegoś, z czego nie ma żadnego pożytku ani na poziomie finansów, ani na poziomie emocji? Pozbądźmy się anachronicznego rosółu, zrobisz miejsce na pyszne latte z malinową pianką, które można bez wstydu popijać na lekcjach, fotografować i umieszczać na Instagramie. A każde takie zdjęcie to co najmniej parę groszy do kieszeni właściciela automatu. Ucieleśnijmy prawo popytu i podaży, filozofię utylitaryzmu, zasady logiki, może nawet postulaty budowy socjalistycznego świata:

 kto nie pracuje, ten nie je (choć tu raczej: kto nie pracuje na siebie, ten nie jest jedzony)...

Skoro wyrok skazujący rosół na wieczne zapomnienie potwierdza tyle rozmaitych ideologii, może warto by pójść o krok dalej i wiosenne porządki przenieść na płaszczyznę planu lekcji? Trudno uwierzyć, żeby wszystkie kilkadziesiąt istniejących przedmiotów szkolnych miało być światu potrzebne. Z tymi, które kradną przestrzeń i czas, nie dając nic w zamian, być może należałoby raz na zawsze się rozprawić. I choć na początku trudno jednoznacznie wskazać te typowane do eliminacji, po chwili wybór okazuje się oczywisty.

Przedmiot, którego nikt nie lubi, a jeśli ktoś jakimś cudem lubi, niech idzie na wykłady na najbliższą uczelnię – nie mając żadnych znajomych, popołudniami pewnie i tak nie ma co robić. Przedmiot, z którym nikt sobie nie radzi i który niepotrzebnie zaniża średnią klasy, szkoły, miasta, kraju, rzucając czarny cień na wszystkie raporty, wykresy i diagramy. Przedmiot, którego nie sposób interesująco nauczać – co może być interesującego w przesuwaniu szafy wzbogaconym jeszcze o długotrwałe, donikąd prowadzące obliczenia? Wszystkie „ciekawostki” wywołują tylko salwy śmiechu albo przewracanie oczami (a to i tak tylko w wypadku, jeżeli ktoś ich słucho, co nie zdarza się często), natomiast dodatkowe doświadczenia dla chętnych istnieją tylko na papierze, bo ów mityczny „chętny” jest jak Yeti: wszyscy o nim słyszeli, nikt nigdy go nie widział.

Decyzję o wykreśleniu fizyki z planu lekcji poparłby chyba nawet jeden z największych polskich poetów. Czy wzory na prędkość kosmiczną, siłę wyporu, energię potencjalną i kinetyczną nie są bowiem klasycznym przykładem „mędrca szkiełka i oka” przegrywającego z „czuciem i wiarą”, nierozwiązywanego problemu, uniemożliwiającego zrozumienie świata materialnego w postaci obyczajów ludu oraz zjawisk fantastycznych lub cudownych? Nie po to chyba Mickiewicz ubierał swoje przemyślenia w tak pięknie dopracowane słowa, żeby ludzie odpowiedzialni za program nauczania teraz nic sobie z tego nie robili.

W tym momencie z zakamarków pamięci walecznego pogromcy lekcji fizyki zaczyna wyłaniać się widmo (oczywiście nie widmo pierwiastka, te już na zawsze zostały wypędzone z programu nauczania i, co za tym idzie, z życia polskich nastolatków). Ubrana w robiony na drutach sweter i szeroką spódnicę zjawia groźnie wymachuje upierścienionym paluchem z czerwonym paznokciem. Głosem znudzonej polonistki mającej pod opieką trzydzieste

z kolei pokolenie licealistów przestrzega przed jednym z najczęstszych maturalnych grzechów. „Cytat wyrwany z kontekstu...” - syczy się syk z jej warg...

No właśnie, czy można wybierać z obszernej twórczości Wieszcza tylko jeden cytat, który tak zdecydowanie występuje przeciwko wrogowi numer jeden szkolnej młodzieży?

Czy nie należałoby wysłuchać również tych broniących najtrudniejszego, najdziwniejszego przedmiotu? Fizyka i tak jest już spisana na straty, a skoro, jak to mówią, leżącego się nie kopie, czemu by nie włączyć do toku nauki i toku myślenia jeszcze jakiegoś fragmentu tego czy innego romantycznego arcydzieła?

„Kto nie doznał gorzycy ni razu, ten nie dozna słodyczy w niebie...” - zza pleców widma dogasającej polonistki wyłaniają się szepczący Józio i Rózia. Zapewne żadne z nich nigdy

nie uczyło się fizyki – nie ten wiek, nie te czasy, klasa, środowisko. No i gdyby uczyli się fizyki, raczej nie musieliby po śmierci pojawiać się na jesiennym obrzędzie: godziny obliczania, uczenia się na pamięć wzorów, wyobrażania sobie ruchów wirujących planet albo łódek płynących z prądem rzeki skutecznie zepsułyby im smak krótkiego życia i ani jedno ziarnko gorzycy nie byłoby potrzebne. Być może więc, jakkolwiek nieprawdopodobne się to wydaje, w dzień sądu ostatecznego na złotej wadze dobrych i złych uczynków znajdzie się miejsce również dla szkolnego świadectwa potwierdzającego zdobycie oceny pozytywnej z przedmiotu „fizyka”...

„Grzeczne dziewczynki idą do raju, niegrzeczne mają raj na ziemi” - koszulki z takim hasłem od pewnego czasu można nabyć na wszystkich polskich targowiskach i straganach. Czy ich dumne posiadaczki, niezamierzające dołączyć do uratowanych smakiem gorzycy dzieci, potrzebują lekcji fizyki? Czy drogę do „raju na ziemi” również trzeba wyliczyć z zawilego wzoru, odczytać ze źle skserowanego wykresu, wynotować z nudnego filmu o eksperymencie

z metalowymi kulkami, których naukowej nazwy nikomu nie chciało się zapamiętać?

Świat pozbawiony lekcji fizyki byłby jak beczka miodu bez łyżki dziegiu. Każda godzina spędzona w szkole pełniłaby jasno określoną funkcję – na poważnych przedmiotach praca, na mniej poważnych niezakończony niczym wypoczynek. Brak stanów pośrednich między udawanym zainteresowaniem prawami Keplera, konspiracyjną nauką na kilka innych przedmiotów a ewidentnym nierobieniem niczego. Na matematyce męczące liczenie, na innych lekcjach męcząca nauka na pamięć, żadnych przedmiotów konfrontujących z nieumiejętnością i jednego, i drugiego. Na wszystkich świadectwach oceny tylko pozytywne, jeśli nie zadowalające. No i co najmniej godzina tygodniowo więcej na zakupy, sport, życie kulturalne i towarzyskie...

Ale czy piękni, młodzi, pozbawieni lekcji fizyki potrafiliby należycie docenić wszystkie te dobrodziejstwa? Czy odejmowanie siedemdziesięciu procent od pierwszej ceny potencjalnej nowej sukienki byłoby równie proste, a zarazem ekscytujące, gdyby godzinę wcześniej nie trzeba było mozolić się nad rozpracowaniem siły, z jaką Ziemia przyciąga wyrzuconą przez okno doniczkę? Czy złoto frytek belgijskich kupionych w foodtrucksie przed szkołą cieszyłoby tak samo bez świadomości, że lekcja o eksperymentach ze złotą folią parę godzin temu skończyła się raz na zawsze? Czy godzina wyczerpujących ćwiczeń w rytm muzyki dawałaby równie dużo mentalnej energii bez porównania jej z niemal godziną bezmyślnego na ogół bezruchu?

Czy promienie słońca na twarzy byłyby jednakowo przyjemne, jeśli by nie dało się ich ciepłem choć na chwilę wytopić z pamięci zadań o właściwościach promieniotwórczych pierwiastków?

Czy zapach drzew i wody wdychany na spacerze nad rzeką uderzałby do głowy tak samo mocno, gdyby nie konieczność uprzedniego oddychania przesiąkniętym zapachem rdzewiejących pomocy doświadczalnych powietrzem pracowni fizycznej?

I czy sama lekcja fizyki, która w komediodramacie szkolnego życia najczęściej gra rolę smutnego zawieszenia akcji, nie mogłaby zmieścić w sobie również szczęśliwego zakończenia? Przecież chwila przynosząca odkrycie, że rozumie się, dlaczego na tablicy widnieje ta, a nie inna liczba, przypomina wyjęcie z buta maleńkiego, uwierającego kamyka, a może nawet odnalezienie maleńkiego skarbu. Podobnie moment, w którym wynik zadania okazuje się logicznie zgodny

z rysunkiem pomocniczym i, co więcej, całkiem prawdopodobny w odniesieniu do rzeczywistości. Pojawia się zadziwiający w swej prostocie widok harmonijnego świata człowieka świadomie

lub nieświadomie ubierającego w abstrakcyjne symbole dokładnie to, co widzi dookoła siebie. Wiadomości o niewidzialnej dla ludzkiego oka fakturze pozornie gładkiej podłogi, sile grawitacji mocującej się ze skaczącą z gałęzi na gałąź wiewiórką, siedmiu kolorach uwięzionych w białym świetle

pozwalają dostrzec szczegóły struktury tego cudownego tworu dającego opisać się językiem liczb, a zarazem pełnego poezji.

Trudno jest myśleć, mówić, tworzyć o świecie, którego się nie zna. A znajomość świata to nie tylko odkrycie rządzących nim twardo przestrzeganych przez naturę praw. Znajomość świata to również uświadomienie sobie płynności granic pożytku i bezużyteczności, nudy i fascynacji, nierozumienia i zrozumienia, rzeczywistości i prawdopodobieństwa, jawy i snu. Dzisiaj, kiedy moja przygoda z fizyką w szkole jest już na zawsze skończona, mogę chyba stwierdzić, że lekcje tego dziwnego przedmiotu wskazały mi początek drogi do zdobycia takiego rodzaju świadomości.

I teraz, być może dzięki nim, powoli zmniejszając odległość dzielącą mnie od końca tego szlaku, mam odwagę napisać ten tekst.